

ROZDZIAŁ SZEŚĆDZIESIĄTY ÓSMY

COLE

Piąta piętnaście rano.

Byłem tak zmęczony, że nie mogłem sobie wyobrazić, żebym mógł teraz zasnąć. Byłem tak zmęczony, że ręce mi się trzęsły, a kątem oka widziałem światła i ruch tam, gdzie ich nie było.

Ani śladu Sama.

Świat jest dziwny. Przyjechałem tutaj, żeby utracić siebie, a w zamian traciłem wszystko poza sobą. Możliwe, że przerzuciłem nad płotem ogródka Pana Boga o jeden koktajl Mołotowa za dużo. Ostatecznie byłaby to bosko paradoksalna kara – poczekać, aż zaczniesz mi na coś zależeć, a potem mi to odebrać.

Nie miałem pojęcia, co zrobię, jeśli nasz plan się nie powiedzie. Uświadomiłem sobie, że w którymś momencie zacząłem bezwarunkowo wierzyć, że Samowi uda się tego dokonać. Nie miałem co do tego najmniejszych wątpliwości, więc teraz odczuwałem rozczarowanie. Czułem się zdradzony.

Nie mogłem wrócić do tamtego pustego domu. Był niczym bez zamieszkujących go ludzi. I nie mogłem też wrócić do Nowego Jorku. Tamto miejsce już dawno przestało być domem. Byłem człowiekiem bez korzeni. Ale gdzieś po drodze stałem się członkiem sfory.

Zamrugalem, przecierając oczy. Kątem oka znowu dostrzegłem jakiś ruch. Wzrok pewnie znowu mnie mylił. Z rezygnacją potarłem oczy i oparłem głowę o kierownicę.

Ale tym razem rzeczywiście coś się ruszało.

To był Sam, z żółtymi oczami czujnie utkwionymi w aucie.

A za nim biegły wilki.